

Ja-Jo pamięta Maciej Szymański

Kilka słów wprowadzenia.

Pan Maciej Szymański jest znanym architektem, autorem wielu projektów zrealizowanych w świecie. Wybrane przeze mnie fragmenty wspomnień autora dotyczą tylko okresu montrealskiego, z okresu kiedy realizowano, jeden z jego montrealskich projektów, nowy konsulat PRL. Autor bardzo zręcznie, z dużym wycuciem sytuacji, opisuje okres budowy. Ciekawe są spostrzeżenia dotyczące „dyplomatów PRL-u” i osób z nimi związanych wspólną pracą, choć nie tylko. Ponoć niektóre z nich dalej są wśród nas...

Całość (2 tomy) można znaleźć na stronie internetowej Biuletynu Polonijnego. <http://szymanski.biulpol.net>

Życzę wszystkim milej lektury.

Marek Jachacz

Ja-Jo pamięta

[...] W pierwszej koncepcji zignorowałem w pewnym sensie, wiele wymagań programu, dotyczących tego, co mój klient nazywał: „warunkami bezpieczeństwa”. Gdybym wziął na serio wszystkie wymagania i ustne wskazówki, które otrzymywałem od towarzysza Leszczyńskiego, wyszłaby z tego warowna forteca, w której dzielna załoga polskiego konsulatu, włączając w to kobiety i dzieci, mogłaby się bronić do upadłego. Bezpieczna w żelbetowej skorupie, z własną studnią, generatorem z zapasami paliwa i okratowanymi oknami przypominającymi strzelnice. Był też drugi powód tego zorganizowanego, stadnego życia przedstawicieli Polskiej Ludowej. Mieszkanie w jednym miejscu, za jednym murem, ułatwiało kontrolę nad tymi ludźmi i fizycznie separowało ich od tubylców. Mieszkanie poza terenem konsulatu nieuchronnie prowadziło do fraternizacji z Kanadyjczykami, co gorzej, z Kanadyjczykami polskiego pochodzenia. Narażając ich na zgubne wpływy obcej ideologii. [...] Na podpisanie umowy w ambasadzie w Ottawie wyjechałem wcześniej rano samochodem. Spotkanie miałem umówione na 10.00 rano. Leszczyński już tam był i od razu zaprowadził mnie do gabinetu Jego Ekscelencji, Józefa Czesaka. Czesak podobnie do Raka był reemigrantem z Francji, gdzie zajmował dość wysokie stanowisko we Francuskiej Partii Komunistycznej. Z Francji został, jako „uciążliwy” cudzoziemiec wydalony i w Polsce ze względu na dobrą znajomość języka francuskiego robił karierę dyplomatyczną, która, jak mi później szepnięto do ucha, ze względu na alkoholizm Jego Ekscelencji, dobiegała szybko końca. W gabinecie ambasadora był już Matthew Stankiewicz, o którym już wam wspominałem. Matthew, którego tego dnia poznałem, miał podpisać umowę na projekt ambasady w Ottawie. Obecny był również chyba konsul czy radca prawny o nazwisku Kustra, który był prawą ręką Czesaka. Bez żadnych ceregieli, szybko podpisaliśmy umowy i Czesak zacierając spracowane robotnicze ręce powiedział: „No to teraz napijemy się koniaczku”. Na biurko wjechała butelka Remy Martin – Fine Champagne Extra, i w ciągu pół godziny została opróżniona. Ambasador przeprosił nas, gdyż wzywały go ważne obowiązki służbowe i polecił opiece radcy Kustra, który zabrał nas na lunch do znanej restauracji Café Louis IX, po drugiej stronie rzeki w Hull. Od tego czasu nigdy już więcej nie widziałem ambasadora Czesaka. Lunch był wyśmienity, wszystko zresztą jest dobre po wypiciu butelki koniaku o 11 rano. Biedny Stankiewicz nie wytrzymał tempa i w połowie lunchu musieliśmy odesłać go taksówką do domu. [...] Po powrocie zastałem w Montrealu nowego konsula generalnego z dodatkowym tytułem ministra pełnomocnego (cokolwiek to znaczy). Został nim Marian Kruczkowski, z zawodu dziennikarz. Wysoko ustawiony w partii, swego czasu był w Komitecie Centralnym odpowiedzialny za prasę. Pozycja strategicznie ważna, powierzana tylko najwierniejszym. Niestety w rozgrywkach partyjnych Kruczkowski postawił na złego konia. Po zmianie z Gomułki na Gierka, stracił posadę i wpływy. W tym czasie komuniści byli już całkowicie przeżarci cynizmem. Ideologię zastąpił koniunkturalny pragmatyzm, regulowany tylko strachem przed Wielkim Bratem. Usunięcie z eksponowanej partyjnie pozycji,

w tym czasie oznaczało tylko utratę wpływów, ale nie przywilejów. O swoich nigdy (do dzisiejszego dnia) się nie zapomina. Kruczkowski wylądował na miękkim fotelu konsula generalnego w północnoamerykańskim mieście. Na osłodę dorzucono mu jeszcze tytuł ministra pełnomocnego, co miało i poklepać go po plecach i pocieszyć materialnie. Był to człowiek bardzo inteligentny, dużej wiedzy, towarzysko obyty i co rzadko zdarza się na szczytach komunistycznej hierarchii, był człowiekiem kulturalnym. Niestety wielu takich ludzi poszło na pełny moralny kompromis, zapewniający równie pełną miskę. [...] w czasie ostatniego pobytu w Warszawie, poznałem kolegę szkolnego Ja-Ja Wojtka, dziennikarza o imieniu Jarek Jaruzelski. Był to człowiek uczciwy i nie z własnej winy był bratankiem generała Jaruzelskiego, pnącego się w tym czasie po partyjnej drabinie, która już wkrótce miała go doprowadzić do pozycji pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (komunistycznej) i wiernego przedstawiciela jego sowieckich mocodawców. Młody Jarek Jaruzelski był w opozycji do swego stryja. Jednocześnie jako dziennikarz, znał Kruczkowskiego. Do gabinetu Kruczkowskiego, w którym był on i jego sekretarka, wprowadził i przedstawił mnie konsul Rak. Kruczkowski wstał, wyszedł zza biurka, wyciągnął rękę i powiedział: „Bardzo się cieszę, że pana poznaję. Dużo o panu słyszałem i przywożę panu pozdrowienia od naszego wspólnego znajomego Jaruzelskiego”. Zapadła głęboka cisza. Zdawało mi się, że Rak przestał oddychać. Przypuszczam, że w tej chwili wszystko stało się dla nich jasne i zrozumiałe. Zapewne też gwałtownie zaczęli sobie przypominać, czy przypadkiem kiedyś nie popełnili niedyskrecji, czy też nie zdradzili się przede mną nieostrożnym słowem. Jak wiadomo nie ma ludzi niewinnych. Straszne i pełne niebezpieczeństw jest życie w komunizmie! Od Kruczkowskiego dowiedziałem się, że lada dzień przyjedzie do Montrealu i zostanie na cały czas budowy, dwu ludzi. Będą oni reprezentować MSZ. Wyszedłem nawet na lotnisko, żeby ich przywitać. Lucjan Mieczkowski, architekt o parę lat ode mnie młodszy, pracujący w firmie o nazwie „Budimex”, został zakontraktowany przez MSZ dla dozoru zapewne mnie, jak i nieznanego jeszcze przedsiębiorcy budowlanego. Razem z nim przyjechał młody towarzysz o nazwisku Banaszekiewicz. Buchalter wyjątkowo wstrętny, arogancki partyjniak, z którym miałem sporo kłopotu, nim go nie rozgryzłem i nie znalazłem na niego sposobu. Mieczkowski zapewne też był partyjny, raczej z potrzeby niż przekonania, choć nigdy do tego się nie przyznał. Dobrze mi się z nim pracowało, znał się na rzeczy i próbował wyrwać się z obłądnego systemu komunistycznej biurokracji. Oczywiście bez widocznego powodzenia. Tym nie mniej, wiele mi pomógł w doprowadzeniu tego projektu do zadowalającego końca. Wydaje mi się, że Mieczkowski musiał później brać udział w ruchu „Solidarność”, gdyż w pierwszym pokomunistycznym rządzie został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa. Później nawet ambasadorem bodajże w Pakistanie. Słyszałem, że umarł. Obaj panowie wylądowali na Dorvalu w baranich kożuszkach i rosyjskich papachach na głowie. Obaj natychmiast zaczęli chodzić na kursy języka angielskiego na McGill i Mieczkowski, który był w zasadzie człowiekiem kulturalnym, dość szybko potrafił się dostosować do wymogów zachodniej cywilizacji. Gorzej było z Banaszekiewiczem. Obawiam się, że był to homo sovieticus doskonały, bez szans na przekształcenie się nawet w zwykłe, Homo Sapiens. Wkrótce też wśród konsultantów i kanadyjskiej załogi budowlanej stał się obiektem najbardziej niewybrednych polskich jokes. [...] zacząłem mieć trudności z uzyskaniem zezwolenia na budowę, zarówno w Zarządzie Miejskim, jak i w Ministerstwie Kultury. Sprawa zaczęła się przeciągać. W tym momencie przyszli mi z pomocą moi polscy towarzysze w nieszczęściu. Ich doświadczenia z polską biurokracją okazały się bezcenne w Quebecu. Oświadczyli mi, że sprawę tak drobną, jak pozwolenie na budowę, załatwią oni sami. I rzeczywiście, objuczeni torbami pełnymi butelek wódki, udali się do Ministerstwa Kultury i do Zarządu Miejskiego. Tego samego dnia wręczyli mi potrzebne zezwolenia na budowę. [...]W międzyczasie dostałem tajemniczy telefon. Facet o nazwisku J.P. przedstawił się jako oficer RCMP (Royal Canadian Mounted Police) i zapowiedział swoją wizytę u nas w biurze następnego dnia. Przyszło ich dwóch. Jacques (J.P.) nie mógł mieć więcej niż lat 30, ten drugi, starszy nie przedstawił się. Nasze biuro było podzielone niskimi ściankami i nawet pokój konferencyjny nie pozwalał na poufną rozmowę. Zaproponowali mi lunch w jednej z popularnych restauracji na Decarie, gdzie można było znaleźć odosobniony

stolik. Przeszli od razu do rzeczy. Należą do kontrwywiadu (pokazali jakieś legitymacje), specjalizują się w „zagadnieniach” polskich. Po sprawdzeniu mego dossier, które znaleźli w biurze emigracyjnym, doszli do wniosku, że jako uchodźca polityczny z komunistycznej Polski zapewne nie odmówię im swojej współpracy. Chcieliby, po pierwsze dostać plany nowego budynku, po drugie, spotykać się od czasu do czasu i porozmawiać o tym, co się dzieje w konsulacie i na budowie. Natychmiast się zgodziłem. Nie miałem najmniejszych zahamowań natury moralnej. Wprost przeciwnie, zawsze uważałem, że komunistyczny rząd w Polsce jest całkowicie dyspozycyjny w stosunku do Sowietów. Byłem przekonany, że moja współpraca z RCMP jest moim obowiązkiem, zarówno jako Kanadyjczyka z wyboru, jak i Polaka kontynuującego swoją starą „wojnę” z komunizmem. Już w czasie naszej pierwszej rozmowy, ci dwaj panowie wykazali dużą znajomość układów personalnych w konsulacie. Raka nie traktowali poważnie. Zнали przeszłość polityczną Kruczkowskiego. Za osobę najbardziej podejrzaną uważali Kucharskiego. Kucharski, prawie jak w kiepskiej książce szpiegowskiej, był oficjalnie szoferem konsulatu. Nieoficjalnie, przypuszczano, że jest rezydentem polskiego czy sowieckiego wywiadu, co zresztą na jedno wychodziło. Dopytywali się bardzo o Mieczkowskiego i Banaszkiewicza, o których nic właściwie nie wiedzieli. Twierdzili, że sprawdzają ich na miejscu, to znaczy w Polsce. Rysunki odebrali po paru dniach i bardzo się dziwili, że nie chciałem wziąć za to pieniędzy. Z zadowoleniem natomiast przyjęli informację, że rysunki odbiłem na koszt konsulatu, co było prawdą. Spotykaliśmy się później parokrotnie. Zawsze na lunchu. Musieli mieć swojego człowieka na budowie, gdyż wiedzieli o komicznych próbach Kucharskiego, który długim patykiem od szczotki, sprawdzał przepustowość otworów w odlewach betonowych konstrukcji stropów. W końcowej fazie budowy wiedzieli o przyjeździe całej grupy „specjalistów” z Warszawy, którzy starali się oczyścić budynek z instalacji podsłuchowych. Mieczkowski, który pod koniec nabrał do mnie zaufania, opowiadał mi, że „specjaliści” wykryli sporo mikrofonów podsłuchowych, zwłaszcza w instalacjach telefonicznych, które zakładała lokalna firma Bell Tel. Kiedy opowiadałem o tym J.P., to on z oburzeniem powiedział mi, że jego ludzie, którzy to robili, znaleźli mikrofony podsłuchowe założone przez polskie służby i to nie byle gdzie, bo w sypialni konsula. Jak widzicie, wszyscy się tam wzajemnie podsłuchiwali i nikt nikomu nie wierzył. J.P., który pod koniec naszej znajomości zrobił się mniej tajemniczy, wyraził kiedyś zadowolenie z wielkości okien w gabinecie konsula. Okazuje się, że nowoczesne aparaty podsłuchowe, z delikatnej wibracji szyb okiennych wywołanych dźwiękiem ludzkiego głosu, potrafią odczytać rozmowę, nawet z dużej odległości. W czasie tej rozmowy z zadowoleniem stwierdziłem, że skorzystano z moich sugestii umieszczenia mikrofonów w stolarce budowlanej. Polscy „specjaliści”, przed samym otwarciem konsulatu wpadli na bzdurny pomysł usunięcia wszystkich napisów wewnętrznych umieszczonych na drzwiach. Napisy jak: sekretariat, sala konferencyjna, kotłownia i magazyn zostały usunięte. A że litery napisów były indywidualnie przyklejane, zrywając je, uszkodzali drzwi. W zapale zmylenia przeciwnika, usunięto napisy: panie i panowie na drzwiach publicznych toalet (autentyczne!). Z tymi napisami to miałem wiele uciechy. Początkowo miało być kobiety i mężczyźni. Ku niezadowoleniu towarzysza Banaszkiewicza zmieniłem to na panie i panowie. Po zerwaniu tych napisów przez czujnych specjalistów i po ich wyjeździe do Polski, Kucharski, który z szofera awansował na „Gospodarza Konsulatu”, kupił tabliczki z rysunkiem kobiety i mężczyzny. W ten sposób, bez słowa rozwiązał tę trudną sytuację. Oczywiście w trakcie budowy odbywały się częste przyjęcia przy każdej okazji. To tutaj miałem możliwość zobaczenia, jak wiele osób z tak zwanej niezłomnej Polonii, korzysta z darmowej wódeczki. Paru znanych prezesów staro polonijnych organizacji, czcigodny nestor polskich kół intelektualnych, profesor Domaradzki, księża Polskiego Kościoła Narodowego, wszyscy, jak jeden mąż, właściciele polskich biur podróży. Nawet pan L.C., dzisiejszy prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej, zapewne pod pretekstem swojego udziału w Komitecie Przygotowawczym olimpiady, brał udział w spotkaniach towarzyskich u pana konsula. Zupełnie inną grupę stanowili zawodowi Fellow-Travelers³¹ z kanadyjskiego świata dziennikarskiego, zwłaszcza francuskiego o lekko lewicowych ciągach. Ci byli specjalnie fetowani i hołubieni. Jacques Parizeau, w tym czasie początkujący separatysta, odwiedzał Polskę na

koszt konsulatu. Nic też dziwnego, że po dojściu do władzy w Quebecu partii separatystycznej, polski minister spraw zagranicznych Stefan Olszowski wraz z synem, zaproszony został na łowienie ryb w dziewiczych jeziorach północnego Quebecu. Przyleciał do Montrealu samolotem LOTu. Ponieważ nie mieli oni pierwszej klasy, więc siedział razem z synem w pierwszym rzędzie foteli. Dwa następne rzędy były puste i odgrudzone od reszty samolotu grubą liną (leciałem tym samym rejsem). Tak separowano właścicieli Polski Ludowej od reszty obywateli. Na Dorvalu czekał na Olszowskich quebecki samolot rządowy, który zabrał ich na wędkarską wycieczkę. Te drobne, ale ciekawe informacje przekazywał mi buchalter Banaszekiewicz, dla którego było to oczywistym dowodem, że Quebec prędzej czy później, wzorem Kuby, dołączy do rodziny pokój miłujących demokracji ludowych. W tym czasie miałem dwa ciekawe spotkania, warte zanotowania. Przed samą Olimpiadą przyleciał do Montrealu redaktor Budrewicz, mój stary kolega i znajomy Kruczkowskiego. Kruczkowski zaprosił nas obu na lunch do, pamiętam jeszcze dzisiaj, restauracji argentyńskiej. W czasie rozmowy, która zupełnie się nie kleiła i w czasie której Kruczkowski prawił mi wiele komplementów natury zawodowej, Budrewicz w pewnym momencie nie wytrzymał i zrobił uwagę: „No widzisz Maciej, jestem przekonany, że prędzej czy później, nie miała ci Ojczyzna, podziękuje ci jakimś orderem”. W ten sposób zrobił i złośliwą uwagę, i zaakceptował mnie do swego środowiska, które lubił określać jako pragmatyczne, a które w rzeczywistości nie było niczym innym jak środowiskiem pozbawionych skrupułów dziennikarzy. Innym razem siedziałem z Kruczkowskim w jego gabinecie (było to już po ukończeniu budowy), gdzie przedstawiałem mu ostatnie rachunki. Sekretarka wprowadziła do pokoju z wielką rewerencją faceta o nerwowo biegających oczach. Przedstawiono nas wzajemnie. Okazało się, że był to towarzysz Andrzej Werblan, z nieznanymi mi powodów odwiedzający Montreal. Werblan był jednym z czołowych polskich marksistów. Był członkiem i Komitetu Centralnego Partii i Biura Politycznego, redaktorem naczelnym „Nowych Dróg” i dyrektorem Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu i Leninizmu. Jednym słowem czołowy ideolog partyjny. Rozejrzał się po gabinecie, który z dużą pieczołowitością wyposażyłem w dębowy sufit, gruby dywan i meble z jasnobrązowej skóry. Podeszedł do mnie, stanął naprzeciw i groźnie na mnie patrząc powiedział: „Widzę towarzyszu, że nie potrafiliście zachować ani proletariackiej prostoty, ani proletariackiego umiaru”. Nie znoszę jak ktoś do mnie mówi per Wy (przypomina mi to wojsko), odwróciłem głowę, udając, że szukam osoby do której on mówi. Kruczkowski zrobił się bledy, a Werblan jeszcze raz powtórzył swoją „krytyczną” uwagę. Już chciałem mu wytłumaczyć, że tak naprawdę, to na porządne umeblowanie gabinetu zabrakło pieniędzy, kiedy Kruczkowski złapawszy drugi oddech, zaczął mu tłumaczyć moją „niewinność” niewłaściwym pochodzeniem. Wyparł się mnie konsul Kruczkowski, nazywając „kanadyjskim architektem z dobrą znajomością języka polskiego”. Natychmiast też udobruchał towarzysza Werblana ofiarując mu duży kieliszek koniaku. Jak już nie raz mogłem się przekonać, jest to niezawodny sposób na marksistów każdej maści (myślę o koniaku). Punktem kulminacyjnym mojej polskiej przygody w Montrealu, było uroczyste otwarcie konsulatu. Z Polski przyleciał Stefan Olszowski z Ottawy, na razie trzeźwy ambasador Czesak. Z Quebec City minister jeden czy dwóch. Z Ottawy kupa nieznanymi mi urzędników, łącznie z ambasadorem kanadyjskim w Warszawie oraz cały korpus dyplomatyczny z Montrealu. Pine avenue była zamknięta dla ruchu a budynek otoczony kanadyjskimi tajnikami. Tex, ja, wszyscy konsultanci, właściciele przedsiębiorstwa budowlanego i kierownicy budowy, wszyscy zostaliśmy wedle obowiązującego w świecie przodującego socjalizmu zwyczajowi zaproszeni bez żon. Takie bowiem zwyczaje narzucili Polakom ich starsi bracia ze Wschodu. Właściwie to było bardzo sztywno. W tym czasie Polacy na placówkach dyplomatycznych na ogół nie znali języków obcych albo znali je bardzo słabo. Słyszałem, jak Olszowski po polsku udawadniał konsulowi kubańskiemu, że nie mógłby żyć w kanadyjskim klimacie. Kubańczyk mówił si, si i pił wódkę małymi łykami. Mieczkowski po angielsku rozmawiał z przedstawicielami z Quebecu, którzy udawali, że nie mówią po angielsku. Rak swoim świetnym francuskim gaworzył z przedstawicielami z Ottawy. W ten sposób nikt nikogo nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć. Wszyscy natomiast docenili jakość polskiej wódki i zakąsek przygotowanych przez kucharza wypożyczonego z

„Batorego”. Wreszcie przyszła olimpiada. Sporo było polskich zwycięstw i medali, za każdym razem uroczyście fetowanych w nowej sali recepcyjnej. Przestałem na te przyjęcia chodzić z prostej przyczyny. Moja praca się skończyła, a z tymi ludźmi nie miałem nic wspólnego. Kruczkowski miał zawał serca i wrócił do Warszawy. Na jego miejsce przysłano chamisko o nazwisku Mariański. Podobno z zawodu architekt, choć nie jestem pewien, czy sam zdawał sobie z tego sprawę. Nie trwało to długo. Mariański uwikłał się w aferę ze swoją sekretarką, żoną urzędnika miejscowego LOTu. Wspaniała okazja, żeby podstawić mu nogę. Wyleciał z posady szybko i na jego miejsce przyszedł ktoś inny, którego nazwiska nawet nie pamiętam.[...]

I tu nagle znowu zjawia się ekspert Leszczyński z nowymi propozycjami. W Toronto otwiera się nowy konsulat. [...]



Maciej Szymański

